

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Różyczka i bratek.

POWIASTKA DLA DZIECI.

(Ciąg dalszy.)

Wnet przy chatce na progu,
Tuż przy desce zmarszałej
Dwa robaczki siedziały.
To Różyczka i Bratek
Mają tutaj swój światek.
Bo tu w każdej im chwili
Smutne życie umili
Widok słodki, a znany,
Widok matki kochanej.
Tutaj widzą, hen, w sadzie
Tatuś siedzi przy dziadzie,
Tacy bledzi, jak płótno,
Bo im smutno, tak smutno.
Z zalem głowy swe kłonią,
Myślą czasy te gonią,
Chwile pełne uroku,
Kiedy to przy ich boku
Dziatki drogie igrały,
Ten ich szczęścia świat cały.
Ot, nadeszła Niedziela,

IV.

Której Pan Bóg udziela,
By po pracy i trudzie
Modlili się doń ludzie.
Ot, już na mszę dzwon woła
Z pobliskiego kościoła.
Poszli ojciec i matka,

Pastą została chatka.
Ledwie znikli za sadem,
Wnet tuż, tuż, za ich śladem
Zła czarownica leci
I tak mówi do dzieci;
— „Ha, cóż teraz zrobicie?
Zbrzydło wam takie życie?
Mówcie, czy wam przyjemnie
Będzie matkę mieć ze mną,
Mieszkać ze mną tam, w borze?
Ja wam z życia raj stworzę,
W jedwabie was ustroję,
Wszystkie skarby dam moje,
Dyamenty i złoto
Oddam wszystko z ochotą,
Wszystko, co mam na świecie.
Cóż? Czy ze mną pójdziecie?
Wtedy na me sumienie
Znowu w dzieci was zmienię!
Powiedźcie tylko słówko!
Lecz Bratek kręci główką,
I Różyczka też biała,
W strachu trwodze drżąc cała,
Niezgody daje znaki...!
„Ha przekłete dzieciaki,
Jeszcze tego zamało,
Co się już wam dostało!

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Z życia Jasia.

(Ciąg dalszy.)

Minęło dni kilka. Jaś nie przestawał wieczorami uczyć Józka, a chłopiec starał się jak najwięcej korzystać z nauki.

Pan Kaliński z wolna przygotowywał się do podróży, czekając już tylko na list od kapitana z Marsylii.

Tymczasem jesień zbliżała się szybko, łąki traciły barwę świeżej zieleni.

Wieczory stawały się coraz dłuższe. Czytanie i rysowanie stanowiło wielką rozrywkę dla pana Kalińskiego i dla Jasia.

Jednego dnia chłopczyk, budząc się z rana, zobaczył na stoliku przy łóżku przedmiot, którego wieczorem nie widział.

Podniósł się zdziwiony i przetarł oczy, sądząc, że śni jeszcze.

Ale nie! na stoliku stał jakiś ładny sprządek, wyrobiony z białej kory brzoźowej. Jasio wyskoczył z łóżka.

— A to co takiego? — zawołał, oglądając z bliska ów przedmiot.

Była to bardzo zręcznie wystragana nożykiem podstawka do kałamarza i do umieszczenia pióra i ołówka.

Pan Kaliński także się przebudził, Jaś więc pobiegł do jego łóżka, chcąc się pochwalić swoją niespodzianką, ale wnet się przekonał, że i jego zacny opiekun został obdarzony podobnym kałamarzem.

— Kto to mógł zrobić? — powtarzał zaciekawiony.

— Z pewnością Józek — odpowiedział pan Kaliński.

Rzeczywiście był to dar wdzięcznego Józka, który wystrugał w tajemnicy kałamarze i rano wsunął się niespostrzeżony do sypialni, aby panu Kalińskiemu i Jasiowi sprawić w ten sposób miłą niespodziankę.

XXV

Położywszy się wieczorem do łóżka, Jasio bardzo długo nie mógł zasnąć. Wzmianka o Kincelu w liście od dziadków zbudziła w jego umyśle trwogę i niepokój. Przed oczyma jego wyobraźni przesunęła się postać Kincela, prześladowającego biednego chłopca na każdym kroku.

— Ach, Boże, Boże! — powtarzał sobie w duchu — żeby on mnie aby nie porwał! Jahym

się chyba zamartwił, gdybym nie widział pana Kalińskiego!

Dręczony temi myślami, Jaś przewracał się w łóżeczku, nie mogąc sobie miejsca znaleźć, wreszcie zasnął mocno. Sen przyniósł mu zapomnienie trosk i niepokojów. Jak długo spał, sam nie umiałby na to odpowiedzieć. Gdy się przebudził, usłyszał najwyraźniej, że ktoś chodzi po pokoju.

— Czy to pan, panie Kaliński? — zapytał nawpół rozbudzony, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

— Usiadł więc na łóżku, lecz ciemność nie dozwalała nie dostrzedz.

— Proszę pana, czy to pan? — zapytał znów.

Kroki przycichły, ale odpowiedzi żadnej nie było.

— Co to być może? — zapytywał się Jaś w duchu.

Ogarniała go trwoga. Chciał wyskoczyć z łóżka i obudzić pana Kalińskiego, ale nie miał odwagi się ruszyć, gdyż po chwilowej ciszy kroki znów dawały się słyszeć.

— Co czynić? Boże! co czynić? — powtarzał sobie w myśli.

I w przypuszczeniu, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo, rzucił się napowrót na łóżko i nakrył się kołdrą na głowę.

Po upływie kilku minut zrobiło mu się tak bardzo gorąco, że się o mało nie udusił. Uchylił więc ostrożnie kołdrę i zaczął słuchać.

Tak, ów ktoś tajemniczy przechadzał się ciągle po pokoju.

Zdjęty bojaźnią, przytulił się do poduszki, postanawiając nie odzywać się wcale.

— A może to Kincel — przemknęło mu przez głowę.

To przypuszczenie przeraziło go do najwyższego stopnia. Poleciał się opiece Boskiej i oczekiwał czegoś najgorszego.

Wreszcie zmęczony upałem i bojaźnią zasnął.

— A to co! — usłyszał nagle głos pana Kalińskiego i zbudził się odrazu.

— Ale nie tak łatwo było wysunąć się z kołdry, którą się omatał.

— Dlaczego-żeś ty się nakrył kołdrą na głowę? — zapytał go pan Kaliński. — Jak ty możesz oddychać w ten sposób?

Jaś rozbudził się zupełnie i przypomniał sobie nocną przygodę.

— Ale ba, proszę pana — zaczął — tu ktoś chodził po pokoju w nocy i ja się tak przestrażyłem.

— Jakto, ktoś chodził? — powtórzył pan Kaliński, nie rozumiejąc dobrze, co Jaś chce przez to powiedzieć.

— Ano tak, ktoś chodził? — dokończył Jasio. — Przecież słyszałem doskonale czyjeś kroki.

— Ech, co ty tam pleciesz! — odparł pan Kaliński. — Drzwi przecież były zamknięte, ktoś mógłby tu wejść?

— Albo ja wiem, proszę — mówił chłopczyk — któregoś ten ktoś wszedł, ale słyszałem napewno chodzenie.

Pan Kaliński, niezmiernie zdziwiony, nie wiedział, jak to sobie wytłumaczyć.

— Ja myślałem, że to Kincel — szepnął Jasio.

— I dla tego nakryłeś się koldrą? — rozśmiał się pan Kaliński.

Ale w tej chwili zaczął się śmiać jeszcze głośniej i wreszcie rzekł:

— Teraz ci wytłumaczę, co było powodem twego przestachu, a najlepiej wstań, to sam zobaczysz winowajcę, który cię taką przejął bojąznią.

Jaś zorwał się prędko z łóżka i ujrzał w kącie pod piecem śpiącego jeża, którego sobie wychowywał Józek i który wsunął się niespostrzeżony do pokoju.

— Więc to jeż biegł po pokoju? — zapytał Jaś zdziwiony — ależ ja najwyraźniej słyszałem, że ktoś chodził.

— Oho! ten figlarz potrafi tupać łapkami i naśladować, jak gdyby stąpał mężczyzna — odpowiedział pan Kaliński — tembardziej, że podczas ciszy nocnej każdy odgłos wyraźniejszym się staje.

— Ach ty szkaradny jeżu, wstydy się, żeby mi tyle narobić strachu! — powiedział, śmiejąc się chłopczyk.

XXVI.

Nadszedł wreszcie list od bankiera z Berlina i uspokoił nieco opiekuna Jasia: bankier bowiem pisał, że wskutek zastrzeżeń pana Kalińskiego i własnego swego przekonania, które nakazywało mu mieć się na baczności wobec Kincła, pan Kaliński nie potrzebuje się obawiać aby pieniądze wypłacone zostały Kincelowi! Bankier oprócz tego wyrażał się niezbyt pochlebnie o charakterze Kincła. „Kilka osób odzywało się o nim niekorzystnie — pisał bankier — i kończył list zapewnieniem, że mu pieniędzy nie wypłaci.“

— No, dzięki Bogu, przynajmniej z jednej

strony uspokoiłem się trochę — rzekł sobie z westchnieniem ulgi pocziwy opiekun Jasia.

Tymczasem Jasio przygotowywał się do podróży: zbierał swoje książki, kajeta i drobiazgi i układał je systematycznie w swym kuftrze. Podróżując tak wiele, nabył rzeczywiście wprawy do pakowania rzeczy i był wielką pomocą dla pana Kalińskiego.

— Bardzo mi żal ztąd odjeżdżać — mówił Jasio — jeszcze mi milej nigdzie na świecie nie było, jak tutaj, ale skoro pomyszę sobie, że zobaczę znowu babunię, krewnych i znajomych, to bardzo cieszę się, bardzo.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Dzieci, Zuchelek i Wilczysko.

Tak pomyślał, zawrócił, uszedł z dwieście kroków, śladł pod starą sosną i byłby zapłakał w niebogłoso, gdyby nie to, że płacz wilki mogły usłyszeć.

Stary Ogłon tymczasem przyszedł z boru do chaty, a tu syna niema jeszcze w domu, Ogłonicha i Ogłonka płakały, Zuchelek zaś był przerażliwie.

Prerażony ojciec nie zdjął nawet strzelby z ramienia, zaraz się zabrał i poszedł szukać chłopca. Nie uszedł jeszcze i stu kroków, gdy usłyszał, że ktoś za nim biegnie: była to Ogłonicha. Pędziła tak rażno, że jej tchu w piersiach zabrakło, i rzekła do męża.

— We dwoje prędzej go odnajdziemy! Ty idź tą ścieżką i wołaj „hop, hop!“ Ja zaś pójdę tamtą.

Idą precz po boru, pokrzykują, hukają, potem nasłuchują, ale im nikt nie odpowiada. Chłopiec siedział pod drzewem w przeciwnej stronie, a nie dalej, jak o sto kroków od chaty. Doszli oboje do skraju lasu, spotkali się ze sobą i byli bardzo smutni, że żadne z nich nie znalazło syna.

— Może on we wsi został, może zachorował? — powiada Ogłon.

— Ej, nie, nie! — rzecze Oglonicha. — Gdyby tak był, nauczyciel dałby znać rodzicom.

— A no, to chyba musiał iść inną drogą — mówi ojciec. — Jeżeli poszedł przypadkiem tamtą mylną drogą od łąk, to zblądził, jak amen w pa-cierzu. Co mu zaś do głowy przyszło wałęsać się po bezdrożu?

I oboje pobiegli na ową mylną ścieżkę, którą właśnie przechodził już był Oglonek. Znaleźli tam na dradze książkę, linijkę, zeszyt.

— Chwała Bogu — rzecze stary — chłopiec szedł tedy i z pewnością już go znajdziemy w chacie.

Szli teraz prędko, nie mówiąc do siebie, a stary układał sobie w głowie, jaką naukę ma dać synowi za to, co się stało.

Oglonek zaś chwilę czasu posiedział pod so-sną, gdy wtem wyraźnie posłyszał wycie nie żadnych wilków tylko — Zuchelka. Wstał zaraz i niezadługo potem przyszedł do chaty. Patrzy on, a tu Oglonka aż się zanosi od strasznego płaczu, a Zuchelek wyje i wyje. Wypytuje się, jak, co, i dopiero mu siostra ze szlochaniem powiada, że go rodzice poszli w bór szukać.

— A cóżem ja też najlepszego zrobił! — zawołał chłopiec ogromnie zafrasowany. — Pewnie Wilczyisko napotkał tatusia i mamę ię.

— Trzeba za nimi pobiegać, żeby cię na próżno nie szukali! — powiada Oglonka.

— Ja zaraz idę! — mówi chłopiec i z cha-ty wychodzi.

— Nie pójdziesz sam, niech Bóg broni!... ja także pójdę i Zuchelka weźmiemy ze sobą!

Gorzkie łzy wylewając, opuścili chatę, poszli zwykłą ścieżką ku polu; Zuchelek biegł rażno przed nimi. W górze na niebie było widniutko, ale w boru pełno było cienia od krzaków, od ga-lęzi drzew. Dzieciom ciągle się wydawało, że coś niedobrego widzą przed sobą, a to na śniegu czerniały krzaki, albo pniaki drzew ściętych.

Okropne położenie! Tatusia i mamusi ani widu, ani słychu!

Juści dzieci nie mogły znaleźć rodziców, którzy teraz właśnie przechodzili ową mylną drogę.

Oglon i Oglonicha przybyli do chaty, pewni, że tam już zastaną syna. Jakże się przerazili, kiedy nie znaleźli nikogo!

— Jezus Maryja! — krzyknął Oglon. — To już, widzę, jakieś skaranie Boskie!

I, jak oparzony, co żywo wyskoczył z chaty, a matce przykazał siedzieć w domu. Wybiegł w bór, nastawia uszy, czy czego gdzie nie posłysz;

miał zaś słuch wyborny. Zdało mu się, że na ścieżce ku polu słychać szczenie Zuchelka, i bez zwłoki czasu puścił się w tę stronę. Biegł, a co chwila stawał, słuchał. W samej rzeczy, to Zuchelek wyraźnie szczeniał. Puścił się teraz leśnik, ile tylko sił miał w nogach i kiedy już dopadał do brzegu lasu, naraz usłyszał takie ża-łosne skomlenie, jakie wydaje pies raniony. Oglon jeszcze przyspieszył kroku.

Za krótką chwilę straszny obraz przedstawił się jego oczom. Już na samym brzegu lasu pod krzakiem jałowcu, tulili się do siebie Oglonek i Oglonka, a naprzeciwko, w odległości dziesięciu kroków stał straszliwy Wilczyisko, i szczeniał, zgrzytając zębami, przygniatał przednimi łapami rozszarpanego we krwi Zuchelka. Całą tę okro-pną scenę Oglon widział z boku.

Nie było się tu co namyślać. Leśnik na-tychmiast wycelował strzelbę prosto w latarnię okrutnej bestyi i zaraz huknęły dwa strzały. Wilczyisko upadł na ziemię, tarzał się po śniegu, charkał przeraźliwie, potem w konwulsjach pod-skoczył parę razy tak potężnie, że aż krwią swoją obryzgał oboje dzieci — i wyzionął ducha.

Dzieci nigdy w życiu nie przestały żałować Zuchelka, który w ich obronie zginął od kłanów Wilczyiska.

A. Dygasiński.



Rozwiązanie łamigłówek z Nr. 10

I.
Mieczysław I.

II.
Kordecki.

III.
Mech
Dech
Czech
Lech

Dobre rozwiązanie wszystkich łamigłówek z nr. 10 nadesłali: Stefan Grzenia z Swiecia i Mieczysław Panglisz.

